

Straznik polskiego nieba

Pilot Skibiński? Zaraz przyjdzie, właśnie kończy loty.

Henryk Jantos

Wokół panowała cisza. Gdzieś z dala dochodził tylko jękiły pomruk. W narzany słońcem powietrzu wibrował on jak dźwięk dzwo- nu, przechodząc z wysokich w coraz niższe tony. Potęż- niał z każdą sekundą, nara- stał jak lawina, dochodził zda się do swego kulminacyjnego punktu. Stałowy ptak, za- miótszy cieniem po ziemi, smignął ponad dachami, przeskoczył korony otaczają- cych lotnisko drzew i w mgnieniu oka skrył się za ni- mi.

I znów cisza.

Zachrząsał żwir pod czy- mśmi krokami. Energicznie szarpnięte drzwi rozwarły się szeroko.

Skórzana kurtka, wysokie buty, lekko zwichrzone włosy, jasne, łagodne spojrzenie i ten uśmiech! Serdeczny, prosty i zaraźliwy. Jaka zna- joma postać! Wiem! Tak wy- obrażałem sobie Meresiewa.

Oleszyca — to małe miasteczko leżące w natural- nych widłach Sanu i Bugu. Przypięty przy drodze dro- bne, pokrzywione domki, skle- cone z gliny i desek. W pew- nej odległości od nich roz- siadły się, wypinając brzozy- ukwieconych werand, mura- wane domy lekarza, burmi- strza i księdza. Wokół mia- steczka — jak okiem sięgnąć pusto. Gdyby nie kilka strze- lających w niebo czerwonych kominów cegielni księcia Sa- pieły, wzrok nie miałby się na czym zatrzymać. W tych to cegielniach pracował cza- sem ojciec Janka Skibińskie- go, kiedy zbrakło pracy przy budowie dróg lub liczącym 1500 ha gospodarstwie „jaś- nie oświeconego” księcia.

Nieciekawe było życie naj- młodszych obywateli Oleszy- cy. Dopiero 1938 rok. W któ- res letnie popołudnie, nie- spodziewanie spłynął bezsze- lestnie z nieba szerokokrzy- dły, biały ptak. Zakołował ni- sko nad domami, a potem o- siadł miękko na pobliskiej murawie dworskiego pastwi- ska. Wśród gromady umoru- sanych dzieciaków, dotykają- cych z nabożną czcią skrzy- deł szybownika, znalazł się rów- nież Janek Skibiński. Ten dzień zadecydował. Chłopiec miał wtedy 13 lat.

Dziwił się na pewno war- szawscy listonosze, kiedy wpadł im w ręce list, na kto- rego kopercie niewprawa- ną ręką wypisała dużymi litera- mi naiwny adres: „Do szko- ly nauczania pilotów — Warszawa”.

Zwrócić oczywiście nadaw- cy.

Tak Janek przeżył swój pierwszy, ale nie ostatni za- wód. Na następny list skie- rowany za radą miejscowego nauczyciela do Szkoły Lotni- czej w Grudziądzu — przy- szła odpowiedź Zburzyła ona doszczętnie marzenia i plany młodego entuzjasty lotnic- twa. Po raz pierwszy Janek dowiedział się, że po to aby być lotnikiem nie wystarczy zamieszkanie, zapłać i szczerze chęć. Trzeba jeszcze mieć pieniądze. A ojciec właśnie znów był bez pracy!

Ile zawistnych spojrzeń go- niło za synem komendanta policji, paradykującym po uli- cach miasta w zgrabnym, granatowym mundurku słu- chacza szkoły lotniczej! Z jaką zazdrością patrzyli chłopcy na syna burmistrza Czyska, ucznia szkoły kade- tów!

— Nie patrz synu, to nie dla ciebie — mawiał ojciec Janka.

Pierwsze samoloty, takie z bliska widział Janek w swym życiu, co prawda nie na zie- mi, ale z przeraźliwym wy- cięciem lecące tuż nad nie, mia- ły na skrzydłach czarne mia- ła.

Że i sypały wokół gradem śmiercionośnych pocisków. Na próżno pytał o te, które widział na obrazkach w książ- kach szkolnych. Samoloty z białą — czerwona szachowni- cą. Gdzie one są? Na to py- tanie nie umiał odpowiedzieć sobie nie tylko chłopiec z rze- szowskiego miasteczka.

Później wypadki potoczyły się z błyskawiczną szybko- ścią. Pozostała gdzieś daleko mała Oleszyca, trzeba było zarzucić marzenia o lotnic- twie i długie dni, miesiące, lata, pracować i pracować. Bo niemiecki gospodarz nie żałował wymyślać i pięści. Z nową siłą odżyły te marze- nia wówczas, gdy Jan Skibiń- ski dowiedział się od starego profesora kijowskiego uni- wersytetu, pracującego jak i

on na polach obcej Meklem- burgii, że daleko w Kraju Rad nad Oką rodzi się nowe, polskie wojsko.

— A lotnictwo?

— Chcesz być lotnikiem, mój synu? Zostaniesz! Abyś tylko miał chęć do nauki. To będzie najważniejsze!

Życie potwierdziło prawdę słów starego profesora. To było najważniejsze. Było naj- ważniejsze wówczas, gdy la- tem 1945 roku znalazł się Jan Skibiński w gronowskim Aero- klubie koło Jeleniej Góry, kiedy rozpoczął naukę w szko- le lotniczej, kiedy w maju 1952 roku przygotowywał się do swych pierwszych lotów na samolotach bojowych.

Ważne wydarzenia w na- szym życiu dzielą je na krótsze lub dłuższe etapy. U pilo- ta Jana Skibińskiego jeden z takich etapów zakończył się w czerwcu 1948 r.

Dzień był upalny, bez- wietrzny. Ptaki ciężko poru- szając skrzydłami z trudem unosiły się w powietrzu na- syconym słonecznym żarem. W samo południe wystarto- wał Jan Skibiński do swego egzaminacyjnego, samodzielnego lotu. W kabinie pach- niało lakierem. Na mo- ment zapomniał o wszyst- kim. Jakże dać obroty silni- ka, jak sprawdzić świece? A tu już w reku startowego mi- gnęła biała chorągiewka, za- chwilę opuścił się, wskazując na pole startowe. Spokojnie, spokojnie! Jeszcze raz spraw- dzić przyrządy, armaturę ka- binę, przenieść wzrok na ja- kiś punkt obserwacyjny na horyzoncie. Podniósł rękę: jest gotów do startu.

— Proszę o pozwolenie na uruchomienie silnika!

— Zezwalam!

— Zrozumiałem.

Z rykiem zdawałoby się na strzępy drącym powietrze stalowy ptak wyrzucił w przestworza. Dymy fabrycz- nych kominów, tu jakieś ma- szyny, rusztowania, ludzie pra- cują, budują, wznoszą, nowe domy i nowe życie. My go strzeżemy — kończy swoje opowiadanie pilot Jan Ski- biński.

— Proszę o pozwolenie na uruchomienie silnika!

— Zezwalam!

— Zrozumiałem.

Z rykiem zdawałoby się na strzępy drącym powietrze stalowy ptak wyrzucił w przestworza. Dymy fabrycz- nych kominów, tu jakieś ma- szyny, rusztowania, ludzie pra- cują, budują, wznoszą, nowe domy i nowe życie. My go strzeżemy — kończy swoje opowiadanie pilot Jan Ski- biński.

— Proszę o pozwolenie na uruchomienie silnika!

— Zezwalam!

— Zrozumiałem.

Z rykiem zdawałoby się na strzępy drącym powietrze stalowy ptak wyrzucił w przestworza. Dymy fabrycz- nych kominów, tu jakieś ma- szyny, rusztowania, ludzie pra- cują, budują, wznoszą, nowe domy i nowe życie. My go strzeżemy — kończy swoje opowiadanie pilot Jan Ski- biński.

— Proszę o pozwolenie na uruchomienie silnika!

— Zezwalam!

— Zrozumiałem.

Z rykiem zdawałoby się na strzępy drącym powietrze stalowy ptak wyrzucił w przestworza. Dymy fabrycz- nych kominów, tu jakieś ma- szyny, rusztowania, ludzie pra- cują, budują, wznoszą, nowe domy i nowe życie. My go strzeżemy — kończy swoje opowiadanie pilot Jan Ski- biński.



CAF — fot. Zygm. Wdowiński
Skoczek spadochronowy Maria Wojtkowska z Centralnego Aeroklubu LPZ ma za sobą trzydzieści skoków, w tym je- den z wysokości 4800 m, oraz skoki w nocy i terenie nieznanym.

Trzy spotkania

Wład. J. Ciesielski

Po raz pierwszy trafiłem do Lublina w ostatnich dniach tragicznego września 1939 roku. Wracałem pieszo z nieszczęsnej ewakuacji. Przy wejściu do bram Lubli- na poddani zostaliśmy przez zandarmów hitlerowskich gruntownej rewizji. Ludność natomiast przyjmowała nas bardzo życzliwie i gościnnie. Rozmowy z mieszkańcami Lu- blina pozwoliły nam na grun- townie zapoznanie się z tym przez reżim sanacyjny zapo- mnianym miastem. Pamięta- my przecież, że Lublin w o- kresie międzywojennym za- liczony był do tzw. „Polski B”. Zabudowa miasta była bezplanowa. Mówiło się wpra- wdzie np. o konieczności ska- nalizowania miasta, o tram- wajach — ale niestety, wszy- stko to pozostawało w sferze projektów.

Zabrukowanych ulic w Lu- blinie było zaledwie 40 proc.,

z tego jeszcze 75 proc. ulic wykonanych było z kamienia polnego. Produkcja gazu spa- dała o 20 proc. w porównaniu do okresu sprzed I wojny światowej. Z sieci wodocia- gowej korzystała zaledwie 1/4 ludności miasta, a z kana- lizacyjnej około 10 proc. miesz- kańców. W ciągu 20 lat sa- nacyjnych rządów w mieście tym wybudowano zaledwie 111 parterowych domków, w tym 14 drewnianych.

Przemysł w Lublinie był prawie nieznanym. Ogółem za- trudnionych w Lublinie było zaledwie 17 494 robotników, jak mówi statystyka z 1937 roku. Miasto natomiast mia- ło silne tradycje walk robot- niczych. Każdego roku, w dniu 1 maja, odbywały się wielkie manifestacje, a ulice rozbrzmiewały śpiewem Mię- dzynarodówki. Strajki noto- wane były prawie każdego roku. Bezrobotnym robotni- kom często z pomocą przycho- dził okoliczni, mała rolni chłó- pi. Odbudowany dziś wspani- ały zamek więził najbar- dziej postępowych robotni- ków.

W deszczowy, jesienny ra- nek 1939 roku opuszczaliśmy zaniedbane to miasto, udając się pieszo do Warszawy.

DRUGIE SPOTKANIE

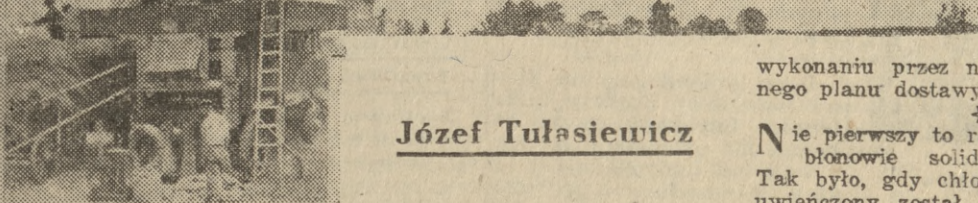
Ponownie do Lublina tra- fiłem krótko po wybuchu Po- wstania Warszawskiego. Ja- ko pracownik Wydziału In- formacji, Propagandy i Kul- tury Wojewódzkiej Rady Na- rodowej w towarzystwie zna- nego poznańskiego sportow- ca — Zygmunta Matuszew- skiego, dostaję się do Lubli- na samochodem, kierow- anym przez radzieckiego żoł- nierza.

Wyzwolone miasto tonie w kwiatach i zieleni, wspaniale przybrane flagami czerwony- mi i białymi — czerwonymi. Na murach Lublina bieleją afi- sze ogłoszonego w dniu 22 lipca Manifestu PKWN.

Poważnie ucierpiał Lublin w czasie działań wojennych. 633 budynki zamieniły się w gruz, dzielnice Podzamcze i Wieniawa prawie znikły z po- wierzchni. Zniszczono 70 proc- ent chodników i 60 procent nawierzchni ulic. Lublinowi ubył około 4500 izb miesz- kani.

(Ciąg dalszy na str. 2)

W MIĘDZYCHODZKIM SZUMIA AGREGATY



Józef Tułasiewicz

dlatego rzucają projekt, by w powiecie międzychodzkiem powstała specjalna

brzygady niszczycieli szkodników w sa- dach, pragną jak najszybszego zelektry- fikowania gromady i urządzenia w jed- nym z jej budynków świetlicy.

—

Jst w gromadzie jabłonowskiej jeszcze inna potężna siła. Kierowana przez dobrze pracujący aktyw, do którego na- leżą: długoletni sołtys gromady i b. ro- botnik westfalskiej huty — Kazimierz Sajna, Stefan Milczyński — prezes Sa- mopomocy Chłopskiej, średniorolni go- spodarze — Leon Mikula i Konrad Jambor — siła ta wzywała w groma- dzie zdrowy patriotyzm chłopski. Zmu- sza do podporządkowania się woli gromadzkiej nawet i tych spośród chłopów, którzy z racji posiadania większych go- spodarstw czują niekiedy kulać „cią- gotki”.

Solidarność ta wspierana rozumnym wpływem Komitetu Powiatowego PZPR, roztropną radą aktywno gminnego spra- ła, że od kilku już lat Jabłonowo prze- duje w dotychczasowej i w spłacie po- latku gruntowego.

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

wykonaniu przez naszą gromadę rocz- nego planu dostawy zboża.

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—



Brama Krakowska w Lublinie

Nasz cel: nauka i wychowanie

Jan Chrzanowski

Kierownik Wydziału Oświaty Prezydium WRN

znajskim, które miało opinię jednego z czołowych województw w kraju. W 1938 r. było w naszym województwie zaledwie 236 szkół 7-klasowych, z tego 109 na wsi. Obecnie mamy prawie 4-krotnie więcej, bo 1124 szkoły, w tym 878 na wsi, tj. 8 razy więcej.

Za rządów sanacyjnych nie mieliśmy w ogóle przedszkoli na wsi. Dziś w naszym województwie około 11 000 dzieci przebywa w wiejskich przedszkolach 5 lub 9-godzinnych. Ilość naszych przedszkoli wzrosła w roku bieżącym o 36 procent w stosunku do okresu międzywojennego, a liczba dzieci — o około 200 procent.

Nie można też nie wspomnieć o opiece nad dzieckiem w okresie niedziel, świąt, wakacji, o ogrodach jordanowskich, ogniskach niedzielnych, placach zabaw, dziecięcych, koloniach i polkoloniach, z których korzysta przeszło 42 000 dzieci w naszym województwie.

Władze Polski Ludowej otoczyły specjalną opieką dziecko niedorozwinięte, ułomne i moralnie zaniedbane. Przed wojną nie mieliśmy w Poznańskim ani jednej szkoły dla tego rodzaju dzieci. W 1950 r. posiadaliśmy już 19 szkół tego typu. Wydział Oświaty Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Poznaniu czyni obecnie starania o otwarcie jeszcze jednego zakładu dla dzieci głuchych.

Innego znaczenia nabrało obecnie zagadnienie opieki nad sierotami lub półsierotami niż przed wojną, gdy dzieci te zdane były na łaskę „dobrych serc” jednostek lub towarzystw filantropijnych. W 1950 roku mieliśmy w naszym województwie w domach dziecka

1120 wychowanków, a w 1953 r. 2.073.

WZRASTAJĄ INWESTYCJE

Rozwój oświaty byłby nie do pomyślenia bez równocześnie snego rozwoju budowy szkół. W bieżącym roku oddajemy 24 inwestycje szkolne, obejmujące 776 pomieszczeń, (tj. klas szkolnych, gabinetów, sal gimnastycznych, mieszkań nauczycielskich itp.). Od 1945 r. wybudowaliśmy u nas 378 budynków szkolnych, tj. dwa razy więcej niż w ciągu całego 20-letniego okresu rządów sanacyjnych.

Wzrastająca aktywność komitetów rodzicielskich i szkolnych komitetów opiekuńczych wiąże w coraz szerszym zakresie masę robotników i chłopów ze szkołą i wychowaniem.

Trzeba tu jeszcze wspomnieć o stałym wzroście kultury artystycznej wśród naszej młodzieży. Świadczy o tym chociażby wyniki ostatniego festiwalu szkolnych zespołów artystycznych, w którym wzięło udział 25 tysięcy uczestników. Osiągnięcia szkolnych kół sportowych na II Ogólnopolskiej Spartakiadzie SKS odbytej w czerwcu w Poznaniu, która przyniosła nam 7 rekordów Polski juniorów, są wymownym dowodem sprawności fizycznej naszej młodzieży.

NASZE ZADANIA

Jakie są nasze dalsze zadania w zakresie oświaty?

Najważniejsze zadanie w szkole to nauka i nierozdzielnie z nią związane wychowanie. Jedność nauczania i wychowania musi być utrzymana poprzez staranne przygotowanie się nauczyciela do zajęć, doskonalenie zawodo-

we, szkolenie ideologiczne, stosowanie zasad pedagogiki socjalistycznej w praktyce. Nauczyciel o wysokich kwalifikacjach zawodowych, nauczyciel społecznik, nauczyciel działacz polityczny — to właściwy wychowawca naszej młodzieży. Związek Młodzieży Polskiej, Związek Zawodowy Nauczycielstwa Polskiego, władze administracji szkolnej i aparatu doskonalenia kadr oświatowych mają tu olbrzymią rolę do spełnienia.

Najważniejszym zadaniem nauczyciela to praca w szkole. Praca społeczna odbywać się może tylko po zajęciach szkolnych i w żadnym wypadku kosztem zajęć lekcyjnych, czy pozalekcyjnych.

Koniecznym jest większy współudział rodziców w walce o wyniki nauczania i wychowania swych dzieci. Rodzice zwłaszcza dzieci przed-szkolnych, znajdujących się w dziecięcych w okresie prac polnych lub w ciągu roku uczęszczających do szkół, muszą zwracać większą uwagę na frekwencję dzieci, na staranne odrabianie prac domowych, na to, gdzie i z kim dzieci spędzają wolny czas popołudniowy. Większy kontakt rodziców ze szkołą, to lepsze wyniki wychowawcze i naukowe.

Dyrekcje zakładów pracy, rady zakładowe, organizacje młodzieżowe w zakładach pracy muszą pomóc w rekrutacji najlepszej młodzieży robotniczej do szkół podstawowych i średnich dla pracujących. Dotychczas pomoc wymienionych czynników nie mobilizuje w pełni młodzieży do zrozumienia znaczenia dalszego kształcenia się w szkołach wieczorowych lub korespondencyjnych.

Trzeba zwrócić uwagę na dalszy rozwój zakładów specjalnych dla młodzieży okaleczanej, zwłaszcza głuchej, podniesienie na wyższy poziom pracy wychowawczej w istniejących zakładach.

Należy realizować uchwały o zabezpieczeniu warunków bytowych nauczycieli wiejskich, zwłaszcza w zakresie uzyskania mieszkań, zapłaty za mieszkania nauczycielskie, zaopatrzenia nauczycieli w niezbędne produkty żywnościowe itp. Jest to poważne zadanie rad narodowych zwłaszcza niższego stopnia.

Musimy też zwrócić uwagę na większą niż dotychczas mobilizację społeczeństwa w kierunku świadczeń sum społecznych i robocizny na budownictwo szkół, remonty szkolne.

Wielka i zaszczytna jest rola wychowawcy naszego pokolenia. Wychowanie nasze będziemy realizowali poprzez radość i uśmiech dziecka, szczerze i zadowolenie naszych rodziców, rzetelną wiedzę i kształtowanie podstaw naukowego poglądu na świat. Wychowamy nasze dzieci na dzielnych i ofiarnych budowniczych socjalizmu.

Przed sieroniowymi konferencjami nauczycielskimi

Spotkałem niedawno znajomego. Z dumą opowiadał mi, że szkoła, do której chodzi jego syn, osiągnęła najlepsze wyniki nauczania.

— A jaka to szkoła? — zapytałem.

— Zaraz, zaraz... Szkoła — moment zastanowił się — szkoła nr... Tu wymienił dwucyfrową liczbę.

Przyznam, że nie mi to nie powiedziało. Wiele przeprowadzonych później rozmów, w tym również i z działaczami oświatowymi, potwierdziło początkowe przypuszczenia, które zrodziła ta rozmowa.

Prowadzimy walkę o podniesienie wyników nauczania, o coraz lepsze wychowywanie młodzieży. W pracy tej powinniśmy wykorzystywać wszelkie możliwości sprzyjające rozwijaniu zainteresowania do nauki i przywiązania do szkoły.

Miedzy poszczególnymi szkołami rozwija się (choć może jeszcze w niedostatecznym stopniu) szlachetne współzawodnictwo. Przykładowo współzawodniczą z sobą Liceum Nr 2 z Liceum Nr 5. Obie szkoły posiadają nawet poważne osiągnięcia. Ale cóż — szerszy ogół w tym się nie orientuje, bo numer szkoły pamięć jakoś dziwnie trudno przyswaja sobie i nie tylko rodzice, ale i sami uczniowie (sprawdzone osobiście) — często nie pamiętają numeru „swojej” szkoły.

Ze zaś istnienie zdrowa, zdaniem moim, tendencja do dokładniejszego określania, umiędziawienia w pamięci, szkoły świadczy choćby, że poważnie mówi się o szkole przy ul. Szama-

Dr Włodzimierz Dworzaczek

z-ca prof. U. P.

Uczony — pedagog — przyjaciel młodzieży

Dnia 11 sierpnia br. zmarł profesor dr Stanisław Szczotka, dziekan wydziału filozoficzno-historycznego Uniwersytetu Poznańskiego, historyk, znakomity znawca problematyki chłopskiej okresu feudalnego.

Trudno pisać wspomnienie pośmiertne o człowieku, o którym jeszcze nie umiemy myśleć jako o tym, który odezwał na zawese. Bo przecież jeszcze tak niedawno z właściwym sobie dynamizmem wszystkich i wszystko dookoła siebie wprawiał w ruch, tak bardzo niedawno snuł plany na bliższą i dalszą przyszłość, wciągając do nich najszersze koła swych kolegów i uczniów. A teraz, kiedy już go nie ma wśród nas, wielkość tej straty możemy zmierzyć najlepiej ilością i wagą problemów naukowych i organizacyjnych, które po nim oczekują przejęcia i rozwiązania.

Specjalizacja prof. Szczotki wiązała się najściślej z jego pochodzeniem klasowym. Był góralinem spod Żywca, synem małego, chłopca dzierżawiącego karłowate gospodarstwo. Opowiadał o sobie, że czerpiąc z bez pośredniej tradycji swoich z kolei rodziców, wspominał często wobec syna czasy pańszczyżniane, budził w małym jeszcze chłopcu zainteresowania historyczne o określonym kierunku. Potem, po ukończeniu studium historycznego na Uniwersytecie Jagiellońskim, oddał się badaniom przeszłości rodzinnej, Żywiec, Żywiec. Trudno o teren, który by mógł silnie działać na wyobraźnię młodego i wrażliwego na krzywdę społeczną historyka. Nigdzie bodaj w Polsce tradycje walki klasowej z uciskiem feudalnym nie były tak żywe jak tu, chociażby pod postacią głośnego nie tylko w historii, lecz i w legendzie „zbójnictwa” góralskiego.

Po wojnie prof. Szczotka przeniósł się z Krakowa do Poznania i objął katedrę historii i socjologii wsi na wydziale rolniczo-leśnym U. P. Główną wagę w swych wykładach poświęcił dziejom po stepu rolniczego w Polsce. Historia techniki rolniej, jak i dzieje techniki produkcji w ogóle, należały w Polsce aż po lata powojenne do najbardziej zaniedbanych dziedzin. A pamiętamy, iż dopiero właściwa ocena drogi, jaka na tym polu była do przebycia od drewnianego radia i gospodarki ugorowej do obecnych kombinatów i najnowszych zdobyczy agrobiologii, pozwala zrozumieć należycie wartość dzisiejszych osiągnięć. To też Polska Akademia Nauk przywiązującą niezmierną wagę do badań z zakresu historii produkcji powołała ostatnio prof. Szczotkę na stanowisko kierownika Zakładu Historii Rolnictwa i Hodowli w Instytucie Historii Kultury Materialnej.

Z chwilą utworzenia z wydziału rolnego U. P. Wyższej Szkoły Rolniczej prof. Szczotka

został kierownikiem Zakładu Historii Gospodarczej U. P. osieroczonego przez śmierć jednego z najwybitniejszych historyków polskich prof. Rutkowskiego. Pracował tu dalej nad umiłowaną przez siebie tematyką. Osobną pracą o powstaniu Koszki Napierskiego, obszerne studia o zbogostwie chłopów w dawnej Polsce, o zwalnianiu chłopów z poddaństwa, o prawie wolności w Polsce, wreszcie ostatnio książka poświęcona zaburzeniu chłopstwa w Obwo. dzie Białostockim w latach 1861—1869, to jedynie ważniejsze pozycje tego okresu. Jak widzimy z tematyki ostatniej pracy, autor wyszedł



poza granice okresu feudalnego, a miał nadto w przygotowaniu znane sobie dobrze z własnych doświadczeń, jako czynnego i bojowego działacza chłopskiego w 20-leciu, studia poświęcone strajkom chłopskim. Prof. Szczotka stał na pozycjach zdecydowanie marksistowskich i nie ograniczając się do stosowania zasad materializmu historycznego we własnych pracach, umiał skutecznie oddziaływać w tym kierunku na młodsze pokolenie pracowników naukowych U. P.

Do badań swych prof. Szczotka w jak najszerszym mierze wciągnął studentów licznie uczęszczających na jego seminarium. Prócz wszelkich stroności i wysokiego poziomu naukowego tych zajęć pociągała jeszcze młodzież niezwykła troskliwość profesora nie tylko o rozwój naukowy, ale i o warunki bytowe studentów. Przekazywał własne lata szkolne i uniwersyteckie w bardzo ciężkich warunkach materialnych, zdany tylko na własną dorywczą pracę zarobkową, zrozumiał lepiej niż ktokolwiek inny troski i potrzeby uczące się młodzieży.

Nagła śmierć prof. Szczotki osierociła Zakład Historii Gospodarczej U. P. i Zakład Historii Rolnictwa i Hodowli P. A. N., pozbawiła kierownika redakcję zbiorowej pracy pt. „Droga dziejowa wsi wielkopolskiej”, przerwała prace nad wieloma publikacjami, między innymi nad ważnym odcinkiem zbiorowego dzieła poświęconego całokształtowi dziejów Wielkopolski. Z tego krótkiego wycięcia nie widać, jak ciężką stratę ponosił Uniwersytet Poznański i nauka polska. Ale nadają przez prof. Szczotkę kierunek w badaniach nad historią wsi, nad postępowymi nurtami Reformacji, w oparciu o jego własny dorobek, kontynuowany przez jego współpracowników i uczniów powinien doprowadzić do celów, jakie on zakreślił.

Trzy spotkania

(Ciąg dalszy ze str. 1)

kalnych. Mimo tych ran, zadanych miastu, twarze mieszkańców tej pierwszej stolicy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej były radosne i przepełnione głęboką wiarą w szybką odbudowę już nie tylko Lublina, ale całego kraju.

Entuzjazm panował ogromny. Pierwsze w wyzwolonej ojczyźnie pismo codzienne „Rzeczpospolita”, było wprost rozbijane. Czynny już był teatr, kino, kawiarnie. Zapowiadano pierwsze koncerty, na ulicach odezwały się głośniki Polskiego Radia, przystąpiono do montowania wydawnictw i organizowania imprez sportowych.

Moim zadaniem było zdobyć jak najwięcej nowych wydawnictw. Toteż dumny byłem z uzyskania wydanych przez Związek Patriotów Polskich w Moskwie w języku polskim dzieł Lenina i Stalina. Na wagę złota obliczaliśmy każdy egzemplarz Manifestu PKWN, jak również innych odezw i ulotek.

Do wyzwolenia Warszawy bywałem w Lublinie prawie każdego tygodnia. Cel każdej razowej wizyty był prawie ten sam — zdobyć jak największą ilość gazet, czasopism, broszur, pierwszych to mówiących. Społeczeństwo Warszawy a właściwie Pragi rozchwytywało każdą nową gazetę i każdą broszurę.

Od chwili wyzwolenia Warszawy oderwałem się od Lublina na całe 10 lat.

TRZECIE SPOTKANIE

Na trzecie spotkanie z Lublinem czekałem z utęsknieniem. Tym razem do Lublina udało mi się wygodnym pociągiem Szczecin — Poznań — Lublin. We wczesnych godzinach rannych wita nas wspaniałe odbudowane i odświeżone dworzec. Do miasta udajemy się pieszo, podziwiając sunące ulicami, czerwone autobusy i trolejbusy, rzecz zupełnie nową w Lublinie. Kiedy docieramy

do Krakowskiego Przedmieścia, omijając Stare Miasto, wprost nie wierzymy oczom. Oto wyrastają przed nami odświeżone gruntuje Krakowskie Przedmieście, odbudowane ulice Stalingradzka, Kowalska, hotel „Europa”, Zamek i Stare Miasto. Około



Pomnik Bohaterów

ca Zamku, w którym obecnie mieści się Centralna Wystawa Rolnicza, zamieniona będzie w przyszłości na wspaniały Park Kultury. W samym Zamku znajdują pomieszczenia Wojewódzkiego Domu Kultury i Muzeum Ziemi Lubelskiej.

Uporządkowane zostały na wierzchniej wielu ulic, rozbudowano sieć autobusową i trolejbusową, zbudowano wielki plac zebrań, w samym mieście urządzono około 200 estetycznych i nowoczesnych urządzonych lokali handlowych. wytyczono już, wprawdzie prowizorycznie, arterie wielkomiejskie Wschód—Zachód i Północ—Południe. O około 300 procent zwiększono tereny zielone, zamieniając miasto jakby w wielki ogród botaniczny.

Uchwała Rady Państwa Lublin odznaczony został Krzyżem Grunwaldu I klasy. Z tego wysokiego odznaczenia mieszkańcy miasta są istotnie bardzo dumni. Zdają oni

sobie sprawę z kolosalnych osiągnięć, jakie uzyskał Lublin i Ziemia Lubelska w okresie pierwszego X-lecia.

A warto wiedzieć, że Lubelszczyzna, obok wspaniałej Fabryki Samochodów Ciężarowych, otrzymała Fabrykę Wyrobów Metalowych w Krasniku, Wytwórnię Sprzętu Instalacyjnego w Poniatowej, Wytwórnię Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku, że wybudowano nowe fabryki w Nielewie, w Puławach, w Krasnym Stawie, w Zamościu i Kurowie, a również rozbudowano i unowocześniono no cały szereg poprzednio istniejących zakładów. Lublinianie dumni są z tego, że jeszcze w roku bieżącym rozpocznie produkcję cementu w Rejowcu, jak również rozpoczną pracę Zakłady Przemysłu Tłuszczowego w Bodaczowie

Dużo zmieniło się na Ziemi Lubelskiej. Znikł analfabetyzm. Lubelszczyzna ma obecnie 330 przedszkoli, w tym 175 na wsi indywidualnej i 94 w spółdzielniach produkcyjnych. Podwoiła się ilość szkół podstawowych. Po wyzwoleniu powstało 25 szkół średnich i to w ośrodkach wiejskich i osadach fabrycznych. W okresie X-lecia wzrosła również poważnie sieć szkół zawodowych. Lublin uzyskał również obok Uniwersytetu im. Marii Curie — Skłodowskiej, Akademii Medycznej i Wyższą Szkołę Inżynierską. Dyplomy ukończenia wyższych studiów otrzymało już 1 855 absolwentów, na uczelniach lubelskich wydano już 195 dyplomów doktorskich.

2 353 biblioteki, 573 świetlice, 1 200 zespołów samokształceniowych i świetlicowych — to dalsze osiągnięcia lubelskiego X-lecia.

Lubelskie dzieło, to dzieło sojuszu robotniczo-chłopskiego, to owoc głębokiej wiary w słuszność naszej sprawy, naszych dążeń do szczęścia i pokoju na całym świecie.

Wład. J. Ciesielski

Wolny wniosek

rzewskiego w Poznaniu, szkole na Bałutach w Łodzi, nigdy zaś niemal o szkole numer 10.

Obecne „numerowanie” szkół nasuwa pewne podobieństwo (przepraszam za porównanie) do dość szybko zaniechaną na szczególną próbę numerowania lokali gastronomicznych. W jednym i drugim wypadku jasno widać, że numer, cyfra, liczba nie wywołuje skojarzeń, trudno utrwała się w pamięci.

Zastanowił się więc warto, czy nie należałoby stopniowo likwidować stosowanej obecnie formy numerowania na korzyść nadawania szkołom nazw, związanych z postępowymi i rewolucyjnymi postaciami naszego narodu. Czy nie pięknie byłoby, gdyby na przykład jedno z przodujących liceów w Poznaniu niosło imię Marcina Kasprzaka? Zresztą z tym trudności żadnych nie ma. Pełną garścią można czerpać, począwszy od Reja i Kochanowskiego, aż do Hanka Sawickiej i Janka Krasińskiego.

Tego rodzaju rozwiązanie (o ile wiem) bardzo skromny sposób gdzieś tam stosowane) nie tylko pomogłoby w bliższym „rozcznieniu” szkół przez mieszkańców danego ośrodka, ale w perspektywie powinno wytworzyć tradycję szkoły, dumę z uczęszczania do niej, przywiązanie — a w rezultacie niewątpliwie przyczynić się i do lepszych wyników w samej nauce.

I dlatego te kilka uwag, jako wolny wniosek do wolnych wniosków na konferencji sierpniowych stawiam.

WŁK

Czy można rządzić pogodą?

E. Fiodorow

członek-korespondent Akademii Nauk ZSRR

Czy człowiek może wedle swego życzenia zmieniać klimat, rządzić pogodą?

Jest to zagadnienie nader skomplikowane; zajmując się nim, należy przede wszystkim mieć na uwadze ogromną skalę i kolosalną energię procesów atmosferycznych. Biorąc pod uwagę udział potężnych sił, Słońce, niejednokrotnie nagrzewa lądy i morza, terytoria położone na równiku i za kołem polarnym. I to właśnie jest podstawowa przyczyna, która powoduje ruch mas powietrza. Kierunek i szybkość ich przesuwania się zależy od obrotu kuli ziemskiej, od konturów lądów i oceanów, od rozmieszczenia łańcuchów górskich. I jeśli byśmy zechcieli choć na kilka dni zmienić kierunek ruchu mas powietrznych po to, aby zapobiec deszczom na terytorium — powiedzmy — tysiąca czy dwu tysięcy kilometrów, trzeba by było zużyć na to energię w ilości, która wyrażałaby się w astronomicznych cyfrach.

Na powierzchni ziemi

Nie jesteśmy jeszcze zdolni do poprowadzenia „frontalnego” ataku na żywiołowe siły przyrody, nie możemy jeszcze wywoływać sztucznie burz i sztormów, ani też im zapobiegać.

Jednakże człowiek ma już w swych rękach potężne środki oddziaływania na klimat. Możemy więc przede wszystkim przeobrażać powierzchnię ziemską.

Obecność i rodzaj roślinności, większa czy mniejsza wilgotność gleby oraz inne cechy danego terytorium oddziałują na fizyczne właściwości atmosfery.

W praktyce jest to nawadnianie okolic nawiedzanych przez suszę i osuszanie błot, sadzenie pasów leśnych, budowa zbiorników wodnych, zatrzymywanie śniegu na polach... Wszystko to realizuje się w Związku Radzieckim na taką skalę, że równocześnie z przeobrażaniem miejscowych warunków klimatycznych zaczyna się — na razie w niewielkim jeszcze stopniu — oddziaływanie na klimat i pogodę w szerokim pojęciu tego słowa.

Jednakże niesłuszne byłoby twierdzić, że przyczyna poważnych wahań atmosferycznych, jakie dają się zauważyć w ostatnich latach, było zbudowanie licznych zbiorników wodnych, elektrowni wodnych, kanałów i innych tego rodzaju obiektów. Należy pamiętać, że wahania takie notowano również i dawniej. Tak np. posuchy, podobne do tej, jaka nawiedziła w tym roku centralną strefę ZSRR, nawiedzały te rejony w latach 1891, 1892, 1920, 1936 i 1938.

Celowe zmienianie tych lub innych fizycznych właściwości powierzchni ziemskiej jest jak najbardziej realnym, choć nie jedynym środkiem zasadniczego

i długotrwałego przeobrażania niektórych cech klimatu.

Istnieje również inna droga oddziaływania na pogodę. Punktem wyjścia jest tu fakt, że w procesach meteorologicznych obserwujemy walkę sprzecznych z sobą zjawisk, co prowadzi często do stanów niestabilnych. W takich wypadkach stosunkowo nieznaczna ingerencja w proces meteorologiczny, przewidziana w odpowiednim miejscu i czasie, może zmienić charakter rozwoju tego procesu. Przyspieszenie lub powstrzymanie deszczu, zapobieżenie gradobiciu lub burzy, rozproszenie chmury — oto ewentualne cele podobnej ingerencji.

Sprawy te dawno wyszły już ze sfery hipotez. Uczeń radziecki — Obolenski, Fiedosiejew i inni — przeprowadzili po raz pierwszy już w latach trzydziestych udane doświadczenia w dziedzinie sztucznego przekształcania chmur. Jednakże nie sądzili oni bynajmniej, że rozwiązały ostatecznie to zagadnienie. Inaczej miałyby sprawy za granicą — w USA.

Umowy na... dostawę deszczu

Szeroko rozreklamowane w latach 1947—1949 doświadczenia Sheffera i Langmuira sugerowały, że problem oddziaływania na chmurę został już całkowicie rozwiązany. Amerykańska prasa naukowa głosiła, że Sheffer jest twórcą „nowej” nauki — meteorologii doświadczalnej, „człowiekiem, który tworzy pogodę”.

Chętnie artykuły reklamowe, które ukazały się w prasie amerykańskiej, wywarły wielkie wrażenie na farmerach z zachodnich stanów, nawiedzanych często przez suszę. Wielu z nich zawarło umowy na „dostawę deszczu” z utworzonymi wówczas niezłocześnie specjalnymi towarzystwami. W roku 1951 zawarto „umowy na

„deszcz” na sumę 3 milionów dolarów!

Co śmieli działacze zza Oceanu zaczęli snuć marzenia o „wojnie meteorologicznej”. Zagadnienie to, jak widać, znacznie więcej interesowało amerykańskich meteorologów, aniżeli zachowanie bogactw naturalnych swego kraju. Na jednym z posiedzeń Amerykańskiego Towarzystwa Meteorologicznego, niejaki Harry Gugenheim — dyplomata, wydawca i właściciel linii lotniczej w jednej osobie (nagrodzony przy tym przez to towarzystwo za „wybitną działalność w dziedzinie meteorologii”) wywodził swą koncepcję na temat... kontrolowania pogody w ZSRR.

„Bomba atomowa stwarza dziś możliwość unicestwienia życia. Kierowanie pogodą może dać możliwość unicestwienia środków istnienia” — oświadczył „prorok”, i powołując się na poglądy drugiego „znawcy” — Orville’a — precyzował: „...większość zjawisk meteorologicznych przychodzi do tego kraju (ZSRR) z Zachodu. Możemy odebrać im (Rosjanom) wilgoć lub zatopić ich ulewami poprzez rozpylanie w chmurach odpowiednich katalizatorów”.

Nieziszczone „proroctwa”

W jakiej mierze osiągnięcia Sheffera i Langmuira usprawiedliwiają całą tę wrzawę? Jak dotychczas, dowiedziono jedynie zasadniczej możliwo-

ści czynnego oddziaływania na chmury w celu ich rozproszenia lub też spowodowania opadów. Jednakże osiągnąć to można nie wszędzie i nie zawsze. Sprawa polega na tym, że podczas opadów chmura nie traci po prostu poprzednio nagromadzonych zapasów wody, lecz jest swego rodzaju „generatorem wilgoci”, nieustannie przetwarzającym przedostającą się do niej parę wodną w kropelki wody lub kryształki lodu — dostatecznie wielkie, aby spały na ziemię.

Dwie zasady

Inaczej mówiąc, chmura jest tylko jednym z ogniw w procesie powstawania opadów. W pracach zaś Sheffera, Langmuira i innych uczonych Zachodu, chmurę traktowano jako obiekt izolowany od otaczającego go środowiska. Wynikiem takiego podejścia było przecenianie osiągalnych efektów. Amerykańscy „agresorzy meteorologiczni”, marzący o przesyłaniu suszy na terytorium ZSRR, zmuszani byli w końcu przyznać, że „nie jest to w ich mocy”.

Odrzucając całą tę niepoważną wrzawę rozpętaną przez gszefciarzy zza oceanu, stwierdzić należy, że nauka zna obecnie dwie zasady czynnego oddziaływania na pogodę — przeobrażenie powierzchni ziemskiej i wykorzystywanie naturalnych stanów w zjawiskach atmosferycznych. I w jednej i w drugiej dziedzinie uczyniono nie wiele pierwszych kroków. A więc nauka nie rozporządza jeszcze środkami przeobrażania warunków meteorologicznych na szeroka skalę. Jednakże osiągnięte już rezultaty dają pewność, że zadanie to zostanie rozwiązane.

(Według czasopisma „Literatura Gazieta” nr 97)

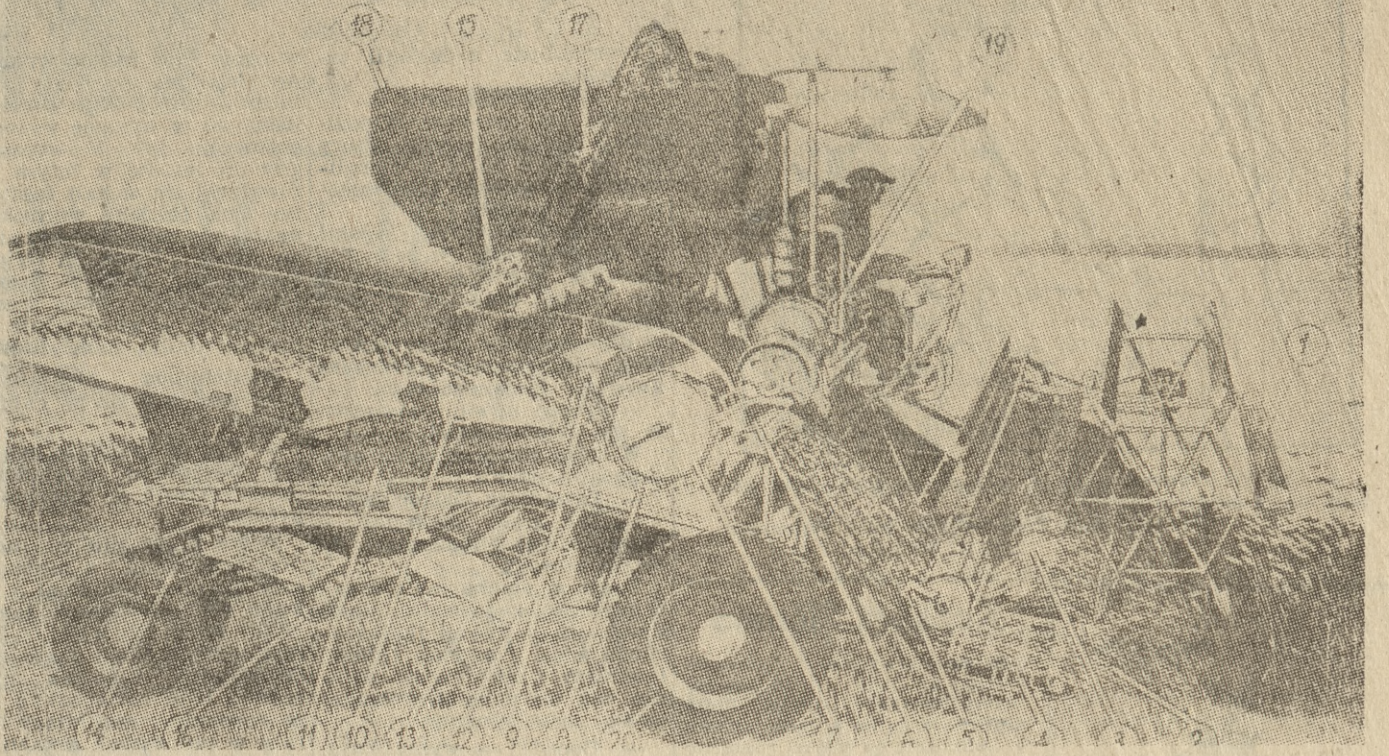
NOWOŚCI ze ŚWIATA

ZAGADNIENIA RAKIETOWE. Sekcja astronautyki przy Aeroklubie moskiewskim przygotowuje wydanie przewodnika bibliograficznego w dziedzinie astronautyki. Jesienią ma rozpocząć się naukowe dyskusja na temat zbudowania sztucznego księżyca.

PALENIE KAWY PROMIENIAMI ULTRACZERWONYMI pozwala na całkowite zautomatyzowanie procesu. W obrotowym bębnie, gdzie ziarna kawy ulegają szybkiemu przegrzewaniu, naswietla się je przez kilka minut promieniami podczerwonymi, co powoduje szybkie brunatnienie kawy. Świeżo upalone ziarno wędruje następnie poprzez urządzenie chłodzące do młynka, a następnie do wagi i pakowni. Cały proces od palenia do zapakowania zmniejszonej kawy trwa około 10 minut, co zabezpiecza kawę doskonałym aromatem i smakiem. Odrośne próby przeprowadza się w tej chwili w Zurychu.

ZBIORNIKI WODNE W CHINACH. Ośmiem wielkich zbiorników do spiętrzania wody zbudowano ostatnio w prowincji Kwantung. Pozwoli to na nawadnianie około 73 000 hektarów chłopskiej ziemi.

KOMBAJN ZBOŻOWY



Czy wiesz jakie czynności musi wypełnić rolnik, jeśli pół jego nie obsługuje zbożowy kombajn? A więc w odpowiednim czasie musi dojrzeć zboże skosić, powiązać w snopy, ustawić w mende. Z kolei, jeśli pogoda sprzyja i nie trzeba snopków na skutek zamoknięcia przestawiać, należy zboże zwieźć do stodoły lub utworzyć stóg. Dopiero wtedy można przystąpić do omłotów, przy czym w czasie tych wielu czynności powstają nienuknione straty ziarna, wynoszące przeciętnie 15 procent, a czasem sięgające nawet do 25 procent.

A kombajn? Kombajn — wspólna maszyna rolnicza — wyręcza rolnika w tych wszystkich pracach, zmniejszając straty ziarna do minimum i przyspieszając wiele razy akcję żniwno-omłotową.

Nasz rysunek (według miesięcznika „Horyzonty Techniki”) pozwala zaznaczyć się z budową omawianej maszyny:

Zboże zagarnięte przez obracającą się motowidło (1) i ściętą przez przyrząd żniwny (2) przesuwa się ślimakami (3) ku środkowi maszyny.

Stąd przenośnik płocienny (4) przerzuca zboże pod bęben podnośnika łańcuchowego (5) do nadajnika (6), a potem pomiędzy „bęben” (7) i kłepisko młocarni (8). Tu młoci siekły. Z kolei słomę porywa odrzutnik (9) i przerzuca ją na wytrząsacz (10), które wyrzucają ją poza maszynę. Natomiast ziarno z plewami dzinę.

spada przez wytrząsacz na sito (11).

Dostaje się tu także ziarno, które przesypało się przez ażurowe kłepisko i jest następnie podzucane w stronę sit przez podnośnik schodkowy (12). Numerem 13 oznaczony jest wentylator przedmuchujący opadające ziarno. Cięższe zanieczyszczenia wędrują do rynny (14), skąd ślimak przesuwają je na prawą stronę maszyny. Stamtąd podnośnik łopatkowy (15) dostarcza je raz jeszcze na tylną część zespołu omłotowego. Ziarno natomiast opada do rynny (16), skąd ślimak zagarnia je na lewą stronę maszyny do podnośnika (17), który wysypuje je do zbiornika (18).

Numerem 19 oznaczony jest silnik. W kombajnach krajowej produkcji jest to silnik typu „Star”. Motor porusza cały mechanizm żniwny, młocarnię oraz koła bieżne (20) kombajnu. Do kombajnu przyczepia się często słomoplewnik, to jest urządzenie gromadzące słomę (15 m³) oraz plewy. Swą zawartość wyrzuci słomoplewnik automatycznie w formie zwartej kupy.

Cóż jeszcze chcielibyście wiedzieć? Wydajność pracy kombajnu (obsługiwanej przy pracy ze słomoplewnikiem przez trzech ludzi) wynosi 0,5 do ponad 1,5 ha na godzinę, a ilość omłoczonego w tym samym czasie zboża sięga nawet trzech ton. A szybkość jazdy? Od 1,7 do 14,6 km na godzinę.

Elektryczny nos

Eustachy Białoborski

W wykazie nagród państwowych znalazło się nazwisko krakowskiego uczonego, odznaczanego za „wprowadzenie do analizy adsorpcyjnej — metod elektrometrycznych”. Jeżeli nie rozumiecie „po chińsku”, to mogę wam zaraz te słowa przetłumaczyć na język polski: „nos elektryczny”!

Brzmi to trochę dziwnie. Ale jak nazwać taki przyrząd, pod który podstawią się kwiatek albo rondel z kapustą, a wskazówka elektrometru — cyk — na jedną lub drugą stronę i pokazuje tyle a tyle miliwoltów?

Idzie tu o coś więcej niż o samą imitację nosa, do którego zręszta, dziwnym trafem, przyrząd jest podobny przynajmniej z profilu.

„Elektryczny nos” prof. Kamińskiego jest w gruncie rzeczy miniaturowym ogniwem elektrycznym. W ogniwie mamy z reguły dwa kawałki różnych metali (albo metalu i węgla) oraz trochę cieczy (elektrolitu). Np. w znanym ogniwie Leclanché’a (do dzwonków) znajdziecie pretwęglowy otulony woreczkiem, z wierającym ładunkiem braunsztajnu, cylinder cynkowy i roztwór salmiaku. W ogniwku Kamińskiego mamy pretek platynowy, trochę rtęci, pokrytej kalomелеm i roztwór chlorku potasu.

Elektroda platynowa stosu Kamińskiego jest zatopiona w szkle. Jeden jej zewnętrzny koniec jest połączony z elektrometrem pokazującym prąd w tysiącznych częściach volta (miliwoltach). Drugi koniec, zaszlifowany wraz z osłoną szklaną na gładko, jest pokryty wysuszo-

tej „warstewki adsorpcyjnej” przyczepiają się jony różnych połączonych chemicznych. Jony, niosące ładunki elektryczne.

Gdy ogniwko Kamińskiego znajduje się w absolutnie czystym powietrzu, wskazówka elektrometru jest nieruchoma i pokazuje napięcie minus 60 miliwoltów. Podobnie woltomierz — który włączymy w obwód prądu stosu Leclanché’a, pokazywałby napięcie 1,5 volta.

Natomiast w powietrzu np. laboratorium chemicznego znajdują się różne „zapachy”, czyli pary różnych substancji chemicznych. Mają one albo charakter kwasowy lub zasadowy, utleniający lub redukujący (odbierający tlen). W zależności od tego dochodzą do warstewki adsorpcyjnej albo dodatnie kationy lub ujemne aniony. Ich ładunek elektryczny musi wpłynąć na stan napięcia w ogniwku, czyli na wychylenie wskazówki — wskazówka wychyla się w tę lub tamtą stronę — drga bez przerwy.

Podstawiamy pod warstewkę szklaną wypełnioną kwasem octowym. Na warstewkę adsorpcyjną dostają się kationy kwasowe, o ładunku dodatnim. Wskazówka instrumentu wychyla się zdecydowanie w stronę napięcia dodatniego. Robimy próbę z amoniakiem (zasada). Wskazówka wychyla się w stronę ujemną — ogniwko otrzymało ładunek ujemny od anionów zasadowych.

Nos ludzki wykrywa substancje niewidzialne, ale tylko woniące, czyli działające na zmysł węchu. Ogniwko Kamińskiego reaguje na wszelkie substancje, widzialne i niewidzialne, wonne i bezwonne, czyli pod tym względem jest uniwersalne.

Toteż obmyślone przez Kamińskiego urządzenie elektrometryczne prowadzi do niezwykłego podwyższenia czułości metod analizy chemicznej, dając wyniki nie tylko jakościowe, lecz także ilościowe. Ma to szczególne znaczenie dla badań biochemicznych, np. przy produkcji leków, aniliny, węgla itp.

Julia Seweryna radzi

Już tylko kilka dni dzieli nas od rozpoczęcia nowego roku szkolnego. Toteż najwyższy czas pomyśleć o przygotowaniu dla dzieci odpowiedniego, skromnego i praktycznego ubranka. Wiemy, że nabyłoby dobrze, że nasze pociechy, ubrane rano w czyste sukienki czy ubranka, wracając ze szkoły zakurzone, poplamione itp. Jakże często właśnie z tych powodów karcimy je. Czy zawsze słusznie? Zastanówmy się...

Jestem dość często świadkiem nieporozumienia między moją siostrą, a jej ośmioletnią córeczką — Hanią. Przyczyna tego tkwi w niedrobie i niesłusznej ambicji matki, aby jej dziewczynka wyróżniała się ubiorem spośród otaczających ją dzieci. Hania ubierana jest więc w jedwabne sukienki z mnóstwem falbanek czy wstążek białe buciki zawsze ma rozpuszczone włosy opadające aż na ramionka, a na głowie szeroka kokarda. Rzecz jasna, że gdy dziewczynka wraca czy to ze szkoły czy też z parku — wygląda trochę inaczej, niż wychodząc z domu. Dziwi się temu nie zabona, gdyż trudno zapomnieć bawie się, gonić skakać itd. Jest dzieckiem i te przwi- leje jej wieku powin- niśmy zrozumieć. Nato-

miast matka nieustannie czyni jej z tego powodu wymówki, a nawet często zatrzymuje ją na długie godziny w domu. Skutek jest taki, że Hania z oczyma pełnymi łez zasiada do posiłku i najczęściej nie zjada go. A ponadto rośnie w jej serduszu żal do matki.

Czy rzeczywiście te wszystkie fałbanki, bia-

łymi do swoich lat — czysto i praktycznie. Dzięki temu i dziecku będzie wygodnie, a matkom zaoszczędzi się wiele pracy z praniem i prasowaniem. Dla dziewczynki w wieku od 7—10 lat najbardziej praktycznym ubiorem w czasie ciepłych dni wrześniowych jest jasna kretonowa sukienka i

Dla starszych dziewczynek najpraktyczniejszą będzie sukienka z ciemnego materiału z białym kołnierzykiem. Jeśli nie chcecie kupować nowej — to w garderobie na pewno znajdziecie odpowiednią, już nie noszoną sukienkę, a po przerobieniu, coreczka będzie wyglądała w niej i schludnie i ładnie. (patrz rys. 2).

Z chłopcami w wieku szkolnym jest już większy kłopot, gdyż nie założymy im spodneczek z kretonu. Albo wiece ubranko gotowe (jest ich dość duży wybór), albo poszperajmy w nie noszonej już przez nas garderobie, a na pewno znajdziemy jakieś spodnie męskie, czy spodniczki, nadające się doskonale na spodenki dla chłopca. Do tego mogą być kołnierzyki z kretonu — oczywiście nie w kwiatki, a w jakieś paseczki, czy kratki (patrz rys. 3). Na chłodniejsze dni nadawać się będzie wiatrówka przerobiona z marynarki ojca, lub sweterek.

Pamiętajcie drogie Czytelniczki, że dzieci ko ubrane skromnie, ale czysto i praktycznie, wystawia dobre świadectwo matce.

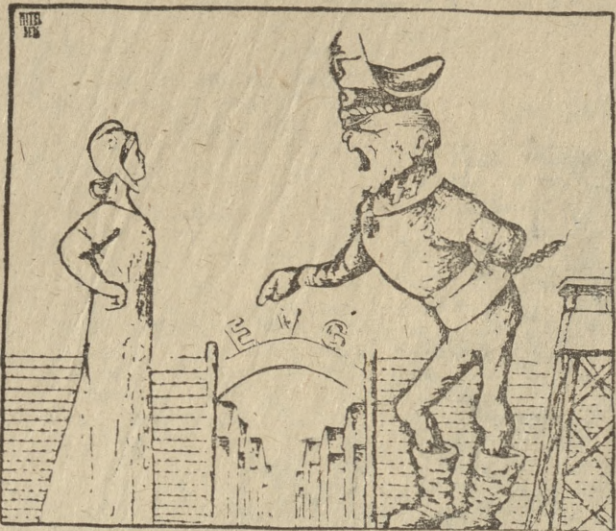
Julia Seweryna



le sukienki kokardy są potrzebne, czy przyczyniają się do lepszego rozwoju dziecka? Na pewno nie! Wręcz przeciwnie, powodują zażenowanie, a nawet bezczelność, a w doświadczeniach nieporozumienia między matką a dzieckiem i te przwi- leje jej wieku powin- niśmy zrozumieć. Nato-

ciemniejszy fartuszek (patrz rys. 1 — może być granatowy z długim rekawkiem). Uczucie dziewczynki powinno być także nie- krepujące. Krótkie włosy, spięte z boku (może być i kokarda nie szeroka), aby nie opadały na oczy, a długie za- nieść w warkocz.

Naród francuski przełtwny jest przysta-
pieniu Francji do „europejskiej wspólnoty
obronnej“.



— Czy nie rozumiesz, że od wejścia do tego obozu za-
leży twoje bezpieczeństwo?

(Rysunek francuskiego karykaturzysty
MITELBERGA)

Konkurs Picassa

Znakomity malarz francuski
Picasso otrzymał list od pewnej
znanej fabryki likierów, która
zapraszała go do wzięcia udziału
w konkursie na plakat reklamowy,
przy czym miała być udzie-
lona tylko jedna nagroda. Firma
zastrzegła sobie jednak prawo
bezpłatnego wykorzystania prac
nie nagrodzonych.

Picasso wysłał następującą od-
powiedź:

„Szanowni Panowie! Zapra-
szam Panów do wzięcia udziału
w wielkim konkursie organizo-
wanym przeze mnie: 5 franków
za najlepszy likier! Każda firma
nadsyła mi tuzin swych fabryka-
tów do wypróbowania. Likier
nie nagrodzone zachowa się do
późniejszego użycia. Wszystkie
koszty pokrywa wysyłający. —
Z poważaniem — Pablo Picasso.“



Wczoraj zawarłem pod wczasów aspektem
znajomość z pewnym kobiecym obiektem.
Stanąwszy w parku do problemu frontem,
rozmawialiśmy „po linii, pod kątem“...

Ze sentymentów mam asortymenty —
chciałem upłynnić serca remanenty.
Na bazie ławki stawiam zagadnienie —
a ona mówi, że owszem... lecz, że nie...
„W dogłębnym użyciu niezachwianym pionie
trza trwać na zrębie i być na poziomie!“
Kieży więc czule za dłonie ją łapię,
rzecze mi: „Jeszcze nie na tym etapie!“

Zbliżam się drżąc do ustek jej ślicznych —
ona mnie gasi: „Brak panu wytocznych!“
Dotknięty taką „krytyką oddolną“,
mówię „odgórnie“: — Bądźże mi powolną —
po linii wkładu w akcję w ramach wczasów
choch pami ze mną na spacer do lasu!
Frontem do ruchu, przyrody i zdrowia!
Rzekła: „Wpiew muszę się z mobilizować!“
Ładny mi z pana wydziału naczelnik:
gdzie liczba dzienna, załącznik, rozdziałnik?“

„Luba, niech trupem padnę tu — jeże“
jakaś mnie siła od ciebie rozdzieli!“

Wtem...

„Zegnaj, pani! Idzie magnifika!“
I tu nie może człek bez rozdzielnika!“

Akt I

Klientka: Przyszedł po moja
pelise.

Pracownicy warsztatu: Jesz-
cze nie gotowa.

Klientka: Jak to! (z oburze-
niem): Jeszcze nie gotowa? Ile
razy przyjdę po pelise, stale sły-
szę: nie gotowa, nie gotowa. Jak
wy tu pracujecie!

Pracownicy (chórem): Właśnie,
jak my tu pracujemy! Jakżeż
możemy pracować w tej ciasno-
ści, gdy na 10 m² musza się zmie-
ścić cztery duże stoły krawiec-
kie, dwie maszyny i nas sześciu
pracowników!

Klientka: Powinniście się prze-
nieść do innego, odpowiedniego
lokalu.

Pracownicy: Właśnie w tym
ręcz. ze powinniśmy (z rezygna-
cją), ale coż my możemy!

Klientka: A co robi zarząd
waszej spółdzielni?

Zarząd Sp.: Staramy się i przez
inspektora BHP i przez radę za-
kładową o zmianę lokalu.

Klientka: I co?

Akt II

Komisja lokalowa PMRN (urzę-
dowo): Przybyłem tu w sprawie
was „o warsztatu“

Pracownicy (radośnie): Prosi-
my bardzo prosimy.

Komisja (mierzący lokal): Rze-
czywiście jest stanowczo za cła-
sny za ciemny i nie nadaje się
do pracy.

Pracownicy: Tak naprawdę,
nie możemy tu pracować jak na-
leży, tylko sobie wzajemnie prze-
szk. —

Isabella Rożkowa

Dookoła Wojtek

sztuka w 3 aktach

(ręcz dzieje się w warsztacie
krawieckim nr 2 Spółdzielni
Inwalidów „Start“ w Lesznie)



Komisja: Musicie otrzymać in-
ny lokal.

Pracownicy (cieszą się).

Akt III

Przedstawiciel CSI w Pozna-
niu: Przybyłem w sprawie wa-
szego warsztatu.

Pracownicy (do siebie z nadzie-
ją): No, jeśli się już Centrala po-
znańska nami zajela! (Do przed-
stawiciela): Prosimy, prosimy!

Przedstawiciel: Tak, rzeczywi-
ście, zgadza się, za ciasno i za
ciemno tu u was, no, ale zajmie-
my się tym.

Pracownicy (cieszą się).

Inne komisje (przychodzą,
stwierdzają obiecują).

Zarząd Sp. (wskazuje PMRN
wolne lokale nadające się dla
warsztatu krawieckiego).

Prezydium MRN (wskazane lo-
kale przydziała innym instytu-
cjom na magazyny i biura).

Inspektor pracy PMRN (przy-
chodzi i stwierdza obiecują).

Pracownicy (interwenują u le-
karza powiatowego).

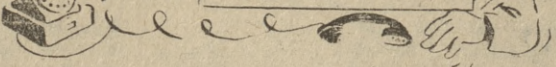
Lekarz (stwierdza i skierowuje
do inspektora pracy).

Inspektor pracy: Towarzysze,
zapewniam was stanowczo i de-
cydująco sprawa lokalu dla wa-
szego warsztatu będzie załatwie-
na do dnia 1 lipca.

Pracownicy (ze smutkiem do
siebie): Ale którego roku?

(Na podstawie korespondencji
J. C.)

MĘCZARNIE przy TELEFONIE



Przenikliwe zadzwonił te-
lefon.

— Miedzymiastowa! — u-
cieszył się dyrektor Włodzimierz
Aleksandrowicz, który
już od kilku dni z niecierpli-
wością oczekiwał telefonicz-
nej wiadomości.

Właśnie niedawno wysłał
do Ministerstwa Poczty i Te-
legrafów szaniste sprawozda-
nie. Długie kolumny imponu-
jących liczb przedstawiały
wielkie sukcesy pracy zakła-
dów, odniesione w pierwszym
kwartale bieżącego roku.

— Proszę mówić! — odezwa-
ła się telefonistka.

W tej chwili szorstki głos
zapytał z oddali:

— Towarzysze Grigoriew?

— Tak jest, słucham! —
odpowiedział Włodzimierz A-
leksandrowicz.

Nagle w słuchawce coś za-
trzeszczało, zagwizdało, słuch
dyrektora uchwycił jakieś u-
rywki zdań i poprzez trzaski
i zgryzoty najwyraźniej wpa-
dło mu do ucha złowieszcze
słowo „mankamenty“.

— Cooo?! — wykrzyknął,
blednąc Włodzimierz Alek-
sandrowicz. — Jakże znów
mankamenty?!

W telefonie nastąpiła zup-
pełna cisza, następnie odez-
wał się głos telefonistki:

— Proszę odłożyć słuchaw-
kę. Za chwilę otrzymamy pan
ponownie połączenie.

Straszliwe słowo wciąż je-
szcze dźwięczało w uszach dy-
rektora.

— Mankamenty! — ma-
mrotał. — Ciekaw jestem,
skąd oni się tak mogli dowie-
dzieć o mankamentach? I

w ogóle... Na pewno wpadli-
my przez ten przeklęty prze-
łącznik „DKC-20“! Umieści-
liśmy go w wykazie wyrobów
gotowych już 28 stycznia,
gdy on jeszcze w lutym po-
niewierał się w hali fabrycz-
nej na oczach wszystkich,
nawet nie zmontowany, niech
go diabli!... Hmm... A i z prze-
łącznikami „DKU“ była ta
sama historia... Może zresztą
nie za to, a za zupełnie coś
innego dadzą nam łupnia?

Włodzimierz Aleksandrow-
icz przeszedł się po gabinet-
cie.

— Kto to jednakże mógł o
tym wszystkim powiadomić
ministerstwo? — męczyło go
pytanie.

Nagle przeraziło go nowe
przypuszczenie: a może ten
cały skandal wyniknął z po-
wodu zbyt wolnego tempa
pracy, lub mogły wyjść na jaw
zeszłoroczne niedociągnięcia?
Ostatecznie, nie tak trudno
było zorientować się,
że robotnicy, regulujący apa-
raty w pierwszych dniach li-
stopada, wykonywali prace
zaplanowane na październik.

Dyrektor przypomniał so-
bie, że o pewnych niedociąg-
nięciach przesłano nawet no-
tatkę do fachowego pisma.

G. Kozłowski

Hum. H. P.

Wprowadź notatkę ta nigdy
nie ujrzała światła dzien-
nego, ale — a nuż rozczo-
rowany autor posłał ją wprost do
ministerstwa? Całkiem moż-
liwe! Wszak i w Związku Za-
wodowym Elektrotechników
też zwracano uwagę na to,
że Zakłady Telefoniczne coś
tam mętlą...

Przenikliwe zadzwonił te-
lefon.

— Słucham, — powiedział
dyrektor, dygocąc i dzwoniąc
zębami.

— Towarzysze Grigoriew! —
odezwał się z oddali ten sam
energiczny głos. — Winszu-
ję! Decyzją Ministerstwa, czo-
łowe miejsce za najsprawniej-
sze wykonanie planów w pier-
wszym kwartale bieżącego
roku, przyznano pańskim Za-
kładom. Właśnie mam przed
sobą dokumenty i wykazy
produkcji przedsiębiorstw, na
których wyfigurujecie na
pierwszym miejscu.

— Dokumenty?! — wy-
krzyknął Włodzimierz Alek-
sandrowicz, czując jak ol-
brzymi ciężar spada mu z ra-
mion. — Do-ku-men-ty?!

— A ja myślałem, że „man-
kamenty“, — zamruczał pod
nosem.

I już zupełnie innym to-
nem, pełnym poczucia wła-
snej godności, wyskondował:

— Dziękuję za życzenia!
Postaram się nadal pracować
idąc po tej samej linii...



Waszyngtońska
informacja

Na Święto Lotnictwa

Rys. H. Derwich

— Widziałas?
Tahiego
mam kolegę!!



Parsifal ma tańczyć

Rzecz dzieje się w amerykań-
skiej strefie okupacyjnej w
zachodnich Niemczech w Be-
warii.

— Bob przyszedł! Jak się masz,
Bob! Siadaj i opowiadaj, jak tam
było.

— No, więc poszliśmy wczoraj
z Dickiem z V koszar do miasta.
Chcieliśmy się rozweselić. Na
chwilę wstąpiliśmy do baru. Po-
tem idźmy i widzimy napi-
„Teatr“. Weszliśmy, grzecznie
wykupiliśmy bilety i wchodzimy
na widowie. Cicho jak na po-
grzebie. A na scenie śpiewają
coś pobożnego. Posiedzieliśmy tak
z pięć minut. Tymczasem, po skoń-
czeniu jednej modlitwy rozpoczę-
ła się druga. Nuda. Nie umie-
nał bawić się ten ponury naród!
Mówię do Dicka: „Puść radio!“
— bo wzięliśmy z sobą kieszon-
kowy radiodiodniak Dick pu-

ścił radio. Na scenie: „Pobłogo-
sław nam, Panie“, a z kieszeni
Dicka słychać: „Moja miła, moja
słodka, przytul się do mnie“. Z
początku cicho, a potem głośnie-
j. Na sali poruszenie. „Cicho! Ci-
cho!“ — rozległy się pójsepty,
a Dick puścił aparat na głośno.
Na scenie: „Tobie oddaję duszę
moją“, a u Dicka w kieszeni:
„Śpiewaj, śpiewaj, gołąbeczko —
skacz — hopla“. Publiczność już
zorientowała się o co chodzi. Za-
częto wołać: „Skandal!“ Najbli-
żej nas siedzący powstał z miejsc.
Ktoś podszedł i cicho do nas mó-



wi: „Dyrektor prosi do siebie!“
A no, skoro tak delikatnie proszą,
dlaczego nie pójść. Dick, wstając,
puścił radio na całego. Poszliśmy.
Dyrektor nas zapytuje:

— Czy nie wiecie, co się dzie-
je na scenie?

— Nie — mówimy. — Odpra-
wiają jakieś żałosne nabożeń-
stwo.

— To „Parsifal“ Wagnera.
Opera.

Dick obrzucił nas i mówi:
— Nie bierzcie się za durniów.
Dokonał wiemy co kościół, a
co teatr.

Następnego dnia zgłosił się
burmistrz miasta do amerykań-
skiego wojennego komendanta.

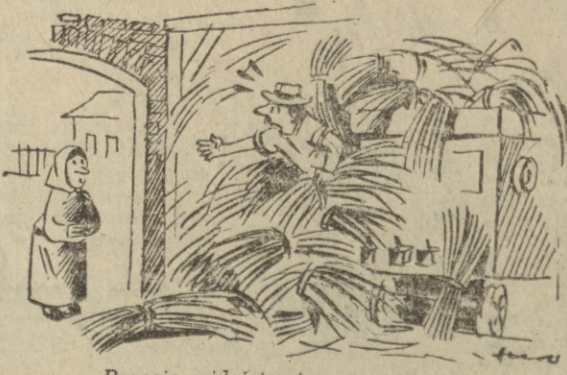
— Witajcie, burmistrzu — rzekł
komendant — i przyjmijcie prze-
prośby za wczorajsze zajście w
waszym teatrze. Wydałem rozkaz,
aby żołnierze amerykańscy nie
chodzili do teatru, gdy będą wy-
stawiane sztuki klasyczne. Ale
muszę oświadczyć, że skoro rząd
dr. Adenauera prosi nas, abyśmy
50 lat u was pozostali, musicie
zmienić repertuar waszych tea-
trów. Przyznajcie, że są one bez-
nadziejnie nudne. Jeżeli zaś chce-
cie, aby nasi żołnierze chodzili
na przedstawienia teatralne ope-
ry Wagnera, przeróbcie tego „Par-
sifala“ na wesoło. Niech tańczy.
(wg „Krokodila“ — hb.)

Do pewnego pisarza

Rzadko w twoich wierszach dzień dzisiejszy gości —
mówisz, pisząc, że tworzysz dla swej potomności,
że chcesz trwale pomniki mieć w literaturze,
mówisz: twórczość taka — to hasło na murze,
które dziś wypisane — nazajutrz już znika,
tracąc swe znaczenie tudzież czytelnika.
Zgoda. „Rzecz na czasie“ zwykle szybko kona —
próżno fraszki takiej szukać będziesz w tomach,
ale wiedzieć trzeba, że zło w które godzi,
konać często nie myśli, a stale się rodzi...
A jeśli chcesz zasługi, sławy i wieczności —
wiedz, że właśnie to czynisz dla swej potomności.

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

Marceli Dudziak ze Słupki Kapitulnej, w
powiecie Rawicz, wymłóciwszy swoje zboże,
schował agregat omlotowy głęboko w sto-
dole, nie myśląc o pomocy dla drugich.
(wg koresp. „wt“)



— Przecie widziacie, że maszyny ni mom!